

Czterech mężczyzn siedziało wyprostowanych, niczym posągi, na antycznych, dębowych krzesłach. Były to w zasadzie bardziej fotele aniżeli krzesła. Ich oparcia stanowiły okazałych rozmiarów, pionowo ustawione, prostokątne, drewniane ramy tapicerowane wewnątrz ciemnożółtym, szorstkim materiałem. Siedziska skonstruowane były podobnie, tworząc prawie idealny kąt prosty wespół z oparciem. Okrągłe, wąskie podłokietniki z giętego drewna rozszerzały się wraz z siedziskiem, by nagle zakończyć się gładkimi, polerowanymi, rzeźbionymi w kształt muszli zdobieniami. Fotele te, pochodzące z sal bankietowych sprzed kilku stuleci, świadczyły o zamożności ich posiadacza, a sama ich wartość rynkowa trudna była do określenia. Można by wyjść śmiało z założenia, iż są bezcenne.

Czterech mężczyzn siedziało w kompletnej ciszy, każdy z osobna analizując ustalenia, jakich dokonali przed chwilą w wyniku burzliwej dyskusji.

Przedłużająca się przerwa w rozmowie, w odczuciu tej czwórki, nie nosiła znamion dyskomfortu. Nie byli amatorami. Nie próżnowali. Każdy z nich, pod pretekstem dobra wspólnej sprawy, szukał takiego rozwiązania, które w jak największym stopniu przyniesie korzyści jemu samemu. Ewentualnie nie przysporzy problemów, a w tej konkretnej sytuacji słowo „problem” znaczyło ni mniej, ni więcej tyle, co strata finansowa, umniejszony zysk czy odleglejsze miejsce w kolejce podczas dzielenia tortu. Ich sytuacja była niebywale komfortowa, gdyż żadne koszty w tym wypadku w grę nie wchodziły. Czuli się ojcami założycielami wielkiej gry. Takiej, w której byli jedynymi graczami; gry pozbawionej czynnika ryzyka, a ponadto gry, do której planszę i zasady stworzyli oni sami.

Nie mogli przegrać. Jedyne, czego nie potrafili w tej chwili przewidzieć, co pozostawało w sferze domysłów, to jak duży będzie wspomniany tort...

Cisza przedłużała się, a zakłócać ją zdawał się jedynie trzask płonącego drewna, dochodzący z kominka, oraz ciche, przerywane skrzypienie jednego z drewnianych foteli. Z biegiem czasu poskrzypywanie stawało się coraz częstsze i wyraźniej słyszalne, by ostatecznie zdominować dźwięki w pokoju.

Bez ostrzeżenia, ku dezaprobachie zgromadzonych, powietrze przeszło długie, wibrujące, początkowo gwałtowne, stopniowo wygasające pierdnięcie.

– Opanowałbyś się... – odezwał się jeden z mężczyzn głosem przepełnionym wzdargą.
– Nie jesteś wśród swoich... – przerwał, nie mogąc znaleźć lub wypowiedzieć słowa, które miał na myśli.

– Opanowywałem się od pół godziny! – zrewanżował się, urażony uwagą, winowajca

zamieszania. – Ten dureń miał przygotować miejsce walnego spotkania! Trzeba być kretyńcem, żeby zamknąć nas w jakimś cholernym bunkrze! Miało być na bogato i dostojnie! Aranżacja godna króla, kurwa, Artura! A to tutaj... co to jest? – ostentacyjnie szarpnął się na swoim siedzisku, a jego opastę cielsko leniwie przelało się, by ponownie wypełnić mebel do granic jego możliwości. – Usiedzieć nie mogę! Dupa mi zeszywniała! To ma być ta aranżacja godna naszego grona?! Pompujemy w tę dziurę miliony! – krzyczał już bez zahamowań, czerwieniejąc na twarzy. – Miliony!

Zerwał się z krzesła tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to jego ogromna tusza.

– Co to jest? Pytam! – odwrócił się przodem do swojego siedziska, jednocześnie, bez skrępowania, stając tyłem do towarzyszy. – Narzędzie tortur?! Tej piździe brakuje funduszy na wygodne fotele?! Pierdolę ten taboret! – kontynuował tyradę, obchodząc mebel szerokim łukiem. – Nie jestem jakimś pierdolonym fakirem! – krzyczał, trzęsąc się już cały ze złości. – Nikola! – wrzasnął tak donośnie, że jego głos poniósł się echem w piwnicznym pomieszczeniu. – Ni... – przerwał w pół słowa, widząc jak przez uchylone drzwi wchodzi do pokoju młody, szczupły mężczyzna.

Mężczyzna ten miał na sobie nienagannie skrojony ciemny garnitur, białą koszulę i muszkę. Śnieżnobiałe mankiety koktajlowe idealnie współgrały z frontem koszuli, a stylu i elegancji dopełniały czarno-białe lakierki. Strój tego człowieka stanowił zaledwie połowę pełnego, bogatego obrazu. Dopełnienie stanowiła sama jego osoba. Lśniące, kruczoczarne włosy ułożone za pomocą ogromnej ilości żelu; delikatne, łagodne rysy twarzy... Mężczyzna poruszał się płynnie i z gracją niczym baletnica.

– Na pańskie życzenie – rzekł na wstępie, kłaniając się.

– Ile mam czekać?! – zrugął go natychmiast grubas. – Masz mi tu natychmiast przynieść duże gwoździe i to... – szukał odpowiedniego słowa, gestykulując nerwowo dłońią. – Natychmiast! – wrzasnął na młodzieńca, nie zadając sobie trudu, by dokończyć, czego właściwie od niego oczekiwał.

– Zrobię z tej kupy próchna prawdziwy fotel dla fakira! – powiedział, bardziej do siebie samego, już nieco spokojniejszy.

Nikola zniknął za drzwiami bez słowa.

– Skończyłeś? Możemy kontynuować? – odezwał się ponownie ten sam głos co wcześniej, opływający pogardą i dezaprobatą dla zachowania grubasa.

– Nie, nie skończyłem! Jak skończę, to udzielę ci głosu – odparł ten ostatni, ciężko

dyszając.

– Siadaj na tyłku, Tadeusz, i skup się na temacie spotkania.

– No, kurwa! Może jeszcze po nazwisku?! – uniósł się grubas. – Zamykamy się w dupie u murzyna, tak że nie widzę twarzy ludzi, z którymi rozmawiam, konspiracja jak ja pierdolę, a ten mi po imieniu... Co tu się dzieje?!

– Popisywać się możesz w swoim zwierzyńcu! Tutaj możesz się co najwyżej zbłąźnić! Nadajesz się na klauna! Siadaj i...

– Dość – odezwał się oschle dotąd milczący jegomość. Jedno jego słowo wystarczyło, by wyraźnie zwaśnione strony zamilkły niemal natychmiast. – Usiądź, proszę – zwrócił się do Tadeusza. – I uspokój się już – kontynuował łagodniejszym tonem. – Mamy jeszcze do omówienia zasadniczą sprawę.